

„Wielka Akcja” (22 lipca 1942 – 21 września 1942). Cz. II

„Władze hitlerowskie plany wyniszczenia europejskich Żydów zaczęły realizować od połowy 1941 roku, wraz z wkroczeniem wojsk niemieckich na tereny ZSRR. Jeżeli działania podjęte wówczas przez Einsatzgruppen uznać za pierwszy etap eksterminacji, zaś wszczęte dziewięć miesięcy później („Akcja Reinhardt”) potraktować jako jego eskalację, to likwidację getta warszawskiego – realizowaną od 22 lipca do 21 września 1942 roku pod nazwą „Wielka Akcja” – należy uznać za dopełnienie ludobójczych planów. Wszystkie w ramach „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Zapraszamy do lektury drugiej części felietonu dr. Pawła Wieczorka o Wielkiej Akcji.

(...) Potem ofiarą Wielkiej Akcji mógł stać się prawie każdy. Czyli większość. Do warszawskich Żydów docierały – choćby częściowe – wiadomości o faktycznym celu działań okupanta. Czy w samoobronie...?, starali się nie dopuszczać myśli, by to oni właśnie zostali – zaocznie – skazani na zagładę. W „przeddzień” nadchodzącej tragedii Niemcy starali się podtrzymywać ofiary w poczuciu niepewności. Na przemian więc demonstrowali swą siłę: organizowali łapanki i dokonywali mordów na przedstawicielach wybranych grup żydowskich, czy też demonstrowali – jakże pozorną – przychylność wobec Żydów, zezwolili na uruchomienie szkół, pochlebnie wyrażali się o pracy robotników żydowskich, zaś Judenrat zapewniali, że gettu nie grozi likwidacja.

Im większa była niepewność jutra, tym łatwiej okupantowi było manipulować tą zamkniętą, odizolowaną od świata zewnętrznego zbiorowością. Głos osób, które mówiły, że jedyną alternatywę stanowić powinno otwarte przeciwstawienie się okupantowi, przeplatał się z kontrargumentami tych, którzy informacje o masowych zbrodniach odrzucali. Tak rozchwiane nastroje pozwalały podtrzymywać napięcie, lęki i dezorientację, a w konsekwencji łatwiej władać zniewolonym społeczeństwem. Tylko nieliczni postulowali zorganizowanie czynnego oporu: atak na gettową policję, szturm na bramy getta i przedarcie się na „stronę aryjską”. Ludzie z **Ha**

Szomer Ha Cair rozpowszechniali ulotki apelujące do Żydów, by nie wierzyli Niemcom i przeciwstawiali się poczynaniom Służby Porządkowej. Nawoływali do sabotowania zarządzeń okupanta. Tłumaczyli: „Droga z Umschlagplatz prowadzi na śmierć”. Ten głos jednak nie miał takiej siły przebicia jak wola przetrwania. I wiara, że to jest możliwe.

Jednak w pierwszej dekadzie sierpnia w getcie zaczęło narastać zrozumienie, jaki jest prawdziwy cel wywózek. Z Treblinky uciekł **Dawid Nowodworski**: „Jego słowa jeszcze raz potwierdzają to, o czym już wiemy – przyznawał jeden ze świadków – Ludzie ze wszystkich transportów zostali zgładzeni i nikt z nich nie mógł ocaleć. A więc zarówno ci, których złapali, jak i ci, którzy stawili się dobrowolnie. Taka jest naga prawda”. Pomimo że w świadomości mieszkańców getta coraz wyraźniej rysował się obraz bliskiej przyszłości, wielu nie dopuszczało myśli o nieuniknionej śmierci. Być może podświadomie, lub przez przekonanie, że to niemożliwe, by to ich właśnie miało spotkać. Uzasadniali, że to tylko pogłoski, celowa prowokacja ze strony okupanta. **Emanuel Ringelblum** tak o tym pisał: „Normalnie myślącym ludziom trudno było przyswoić sobie myśl, że może znaleźć się na kuli ziemskiej rząd mieniący się europejskim, który będzie mordował miliony niewinnych ludzi”. Wtórował mu Jan Górnicki (Ber Oszer Weisbaum): „Nikt nie chciał myśli dopuścić, żeby Niemcy odważyli się na taki czyn. Przecież to historyczna odpowiedzialność, wytracić naród”.

Niektórzy z aktywnych działaczy podziemnych ruchów politycznych (jak Zysze Frydman z Agudas Israel czy Icchak Szyper z Poalej Syjon) wyrażali wiarę, że naród żydowski przetrwa, zaś czynne wystąpienie doprowadzi wyłącznie do likwidacji getta. W opinii publicznej – zanotował w pamiętniku **Jan Mawulta** (Stanisław Gombiński) – przewijało się stanowcze: „Nie ma na to zgody”. Brak działań w tak skrajnych warunkach – pisał – miał być dowodem nie bezsilności lecz – jakże przewrotnej – kalkulacji: „Jeśli można ocalić całość, poświęcając pewną, nawet dość znaczną część, nie należy, nie wolno się wahać ! Chodzi o losy kilkuset tysięcy głów liczącego skupienia. Nawet gdyby ponure krakanie najgorszych pesymistów miało być prawdą, nawet gdyby miało zginąć STO TYSIĘCY LUDZI, to wtedy pozostanie ćwierć miliona, pozostanie, choć okaleczona, całość!”. Mawulta starał się zrozumieć i uzasadnić taką postawę: „Ten zespół ludzki zebrany zupełnie przypadkowo, nie był przygotowany do żadnego bohaterskiego kroku. Jedni przywykli do uległości wobec Niemców, drudzy nie zdawali sobie sprawy z prawdziwych

rozmiarów groźby, inni wreszcie – a ci byli najliczniejsi – wierzyli, że uda im się uchować część warszawskich Żydów, przede wszystkim zaś własne osoby, swych krewnych i bliskich”. Ich zapewne miała na myśli nieznana z nazwiska autorka pamiętnika, gdy pod koniec lipca pisała: „Jak długo porządkowi grasują po zaułkach nędzy, jak długo akcja trzyma się jeszcze z daleka od centrum, całkiem inne są oceny i inne wypowiada się zdania”.

Próby. Były różne. Nawet ci, którzy pierwotnie nie dopuszczali myśli, jakoby getto, a więc i oni przeznaczeni zostali do likwidacji, szukali sposobów, by taką wiarę i los wesprzeć. Niemcy początkowo obiecywali, że warunkiem pozostania w getcie jest praca. „Probierzem życia i śmierci stała się sprawa zatrudnienia – pisał Ernest – punkt ciężkości przeniósł się do budynku, gdzie urzędował Arbeitsamt”. Szopy zaczęły się na niespotykaną dotąd skalę rozrastać, przybierając rozmiary kombinatów. Dla przedsiębiorczych kierowników potrzeby szukających pracy stwarzały okazję. Podstawę zatrudnienia stanowiły nie fachowość czy posiadane umiejętności, lecz pieniądze. „Żądano »wpisowego« po kilka lub kilkanaście tysięcy złotych od »łebka« – notował **Henryk Bryskier** – Było [to] jakoby potrzebne do poczynienia koniecznych inwestycji, do rozszerzenia już istniejących lub uruchomienia nowych działów produkcji”. Ci, którzy mieli szczęście (i gotówkę), otrzymywali dokument poświadczający przydział stanowiska. Skoszarowani na terenie szopu, nazywani byli »placówkarzami«. Równie szybko okazywało się, że szanse na przetrwanie dzięki pracy (często fikcyjnej) i poświadczającym ją dokumentom jest (jak wszystko w getcie) tymczasowe i pozorne. Kronikarz getta, Ringelblum, pisał o pozorowanej pracy szopów w czasie blokad: „Powstały szybko, nie miały zamówień, nie miały surowców, puszczają więc w ruch fabryki tylko wtedy, gdy przychodzą Niemcy”.

Szopy okazywały się pułapkami. W nich, jak w całym getcie, bezustannie przeprowadzano selekcje. Wpierw więc Niemcy dokonywali nalotu na wybrany szop. Wszystkich spędzano na plac na wielogodzinny apel. Potem robotników dzielono na tych, którzy (przynajmniej tymczasowo) są przydatni, i – dosłownie – na zbędnych. Patrzono na dłonie. Dawni pracownicy biurowi musieli opuścić »placówkę«. Padał rozkaz: „Pokaż mięśnie”. Słabych i chorych jednakowo kierowano na Umschlagplatz. „Powiew śmierci – odnotował Bryskier – zawładnął szopem: [Wydarzenie] sparaliżowało tego dnia pracę w warsztatach. Ledwo echo bólu umilkło, nastąpił drugi najazd. I znów przerzedzone szeregi zakołysały się i wróciły do warsztatów. Wszyscy chodzili jak obłąkani.

Nawet ten, którego bezpośrednio nieszczęście nie dotknęło, był oszołomiony i złamany przez przeżycia, strach, niepewność o własne i najbliższych życie w czasie wystawiania przed siepaczami". Nie pomagały zapewnienia niemieckiego oficera dane właścicielowi szopu, niepisane układy i nieoficjalne interesy SS-manów z kierownikiem szopu-Żydem: „Niemieckie słowo oficerskie i słowo honoru obowiązywało, ale nie [w stosunku] do Żydów". Często były przypadki, gdy zabierano tych, którzy Niemcom zaufali, natomiast zaniechano wyszukiwania ukrytych.

Na przełomie lipca i sierpnia zatrudnienie w szopach traktowano jako warunek przetrwania. Wielu z pracujących wierzyło, że zbliża się koniec Wielkiej Akcji. To wówczas rozpowszechniany miał być pogląd, że działania Niemców ograniczą się do grupy najuboższych. I na tej właśnie grupie zakończą: „Centrum nie ruszają, operują wyłącznie w spelunkach nędzy. Wygonią żebraków, nędzarzy, uchodźców. Starzy, dzieci nie wytrzymają trudów wędrówki, trudu budowania egzystencji tam daleko" (Jan Mawulta). Dający wiarę pogłoskom byli zarazem świadomi, że spotkać ich może wysiedlenie. Myśląc o swoim losie podkreślali: „Reszta pójdzie do obozów pracy w Rosji, będą budować drogi, regulować rzeki". Długo takie poglądy nie przetrwały, gdyż od drugiej połowy sierpnia radykalnej zmianie uległa taktyka okupantów. Tereny położone w obrębie granic getta zostały „od Żydów uwolnione". Akcja jednak trwała nieprzerwanie. Dynamicznie zbliżała się do centrum. Postępował proces kolejnych przesiedleń wewnętrznych w parze z selekcjami: „Podchodzi szereg do ss-owca – pisała nieznana autorka – jeden rzut oka na dokumenty, na twarz i dotknięcie pejcza. Na lewo – to wolność, na prawo – to Umschlagplatz. Już selekcja zakończona". Wkrótce była kolejna: „Grzecznie wysyła Niemiec rodziców na Umschlagplatz, a córkę na wolność, grzecznie podchodzi córka i prosi o pozwolenie pójścia za rodzicami, grzecznie on jej na to pozwala. Grzecznie, spokojnie, cicho, ani jednego jęku, krzyku czy spazmu" (Mawulta).

Spośród ludzkiej masy wielu padło ofiarą jeszcze przed „doprowadzeniem" na Umschlagplatz – bo nie byli zdolni samodzielnie dojść, bo buntowali się, bo stawiali opór, bo nie mogli nadzorującym ich zapłacić haraczu za rzekome uwolnienie (Samuel Zylbersztajn). Lub gdy wpychani do wagonów, ginęli od kul: „Gdy nie było już miejsca, żandarm strzelał nieraz w tłum. Tłum cofał się odruchowo i wpychano wówczas jeszcze kilkadziesiąt osób" (wspomnienia

nieznanej autorki). Bo tego typu „incydenty” nie mogły zakłócić przebiegu akcji likwidacyjnej.

Okoliczności zmuszały do szukania lub tworzenia kryjówek. W getcie popularność zyskało hasło „DS” – „Dobrze się schować”. Próbowano wszędzie: w izbach, piwnicach, na strychach, w gruzach. W pośpiechu budowano podwójne ściany, zamurowane alkowy, zamaskowane poddasza. Szafy przysuwano do ścian zasłaniając ostanie pomieszczenie w domu. Sklepy zamykano z zewnątrz. Pod ziemią budowano pierwsze schrony: „Doświadczenie na prowincji uczy, że trzeba się ukryć”. Niektórzy rozważali ucieczkę na „stronę aryjską: „Zapatrywaliśmy się na to jak na fantazję – napisał Stok o propozycji sąsiada – Do kogo iść? Z czego będziemy żyć? Jak długo można się ukrywać?”. Inni jednak – świadomie – decydowali się na takie ryzyko. Wiedzieli, że niebezpieczeństwo jest podwójne. W biuletynie AK donoszono: „W dzielnicy aryjskiej mnożą się wypadki osób zbiegłych z ghetta. Obok zawodowych szpiclów działających tu dla zarobku (szantaże) wielu amatorów”. Nie wiadomo ilu, zapewne nielicznym, ucieczka się powiodła. Większość – uciekająca przez dziury w murach, tunele kanalizacyjne, dachy budynków sąsiadujących ze „stroną aryjską” lub przebijając ściany, za podjętą próbę zapłaciła najwyższą cenę: śmierć przez rozstrzelanie. Próbowano też inaczej – przy wsparciu bliskich, przyjaciół czy współtowarzyszy. Edelman wspominał o oswobodzaniu wybrańców w przebraniu lekarzy lub siostr szpitalnych: „Kitle uratowały setki [ludzi]”. Byli tacy, którzy jako miejsce ukrycia potraktowali transformatory. W źródłach mowa też o innej jeszcze metodzie: „Znane choć rzadkie były wypadki zabierania ludzi żyjących przez karawany. Żyjącego człowieka kładziono pod trupy i wywożono z placu” (pamiętnik nieznanej autorki).

Spowszedniała jeszcze jedna forma ucieczki, odmiana biernego oporu: samobójstwo. Na przełomie lipca i sierpnia 1942 roku, gdy cele Wielkiej Akcji stały się tajemnicą publiczną, nastroje panujące w getcie bardzo rzeczowo przedstawił **Adolf Berman**: „Stan naprężenia i podniecenia nerwowego osiągnął punkt kulminacyjny. Wyczerpanie fizyczne i nerwowe widziało się na twarzy każdego spotykanego człowieka. Mówiono wówczas, że każdy »ma śmierć w oczach«. Liczba ludzi gorączkowo dopytujących się o truciznę zaczęła szybko rosnąć”. Nieliczni mieli szczęście wejść w jej posiadanie. Tych ludzi miała na myśli świadek wydarzeń z początku sierpnia: „Ci, którzy liczyli na zwolnienie, a którym to się nie udawało, zażywali niekiedy w ostatnim momencie, przed udaniem się do wagonów, cyjanku”. We wspomnieniach nierzadko była mowa

o przypadkach ostatniej pomocy niesionej przez medyków: „Pielęgniarki wyszukują w tym tłumie swoich ojców i matki i z dzikim jakimś błyskiem w oczach wstrzykują im dobrą śmierć, którą daje morfina”.

Zniszczeni, bezsilni, szli olbrzymim pochodem. Jak nakazywano: z postojem, przykucając, szybko, wolno. Z ostatnią szansą na ratunek ze strony znajomego z ŻSP: „Ratują krewnych, przyjaciół, sąsiadów ratują dla sportu, ratują dla pieniędzy” (Mawulta). Równolegle z kurczeniem się getta, jakkolwiek wartość traciły dokumenty poświadczające, że ich posiadacz jest, albo był zatrudniony. Zostawał potraktowany jako „zbędny”. Nie dlatego, że był niewydajny w pracy, lecz ze względu na „zapotrzebowanie kolejnych żyć żydowskich” (Ringelblum). Eskortowane kolumny ludzi szły spokojnie. Przecież niektórym wielokrotnie udawało się uniknąć wywózki: „Każdy trzymał dokumenty w ręku, wypatrując momentu selekcji, która często odbywała się paręset metrów przed Umschlagplatzem, potem wypatrywali selekcji samym wejściem, potem w każdej chwili mogła się odbyć na miejscu, potem na krótko przed marszem do wagonów, po drodze do wagonów, przed samym wejściem do wagonów. Wchodzili już do wagonów ściskając kurczowo bezwiednie cenny dokument. Jeszcze wewnątrz wagonów zadzierali poprzez siebie głowy, czy ktoś nie wywoła ich firmy”. O tym, że właśnie następuje kres takich szans uświadamiali sobie wraz z zasunięciem wrót wagonowych. Pociąg ruszał do Treblinki.

Pod koniec sierpnia blokady i łapanek wstrzymano. Wielu ocalałych liczyło, że wreszcie nastał kres Wielkiej Akcji. W pierwszych dniach września okazało się jednak, że było to tylko „przetasowanie” sił przed jej ostatnim etapem. Niemcy zdecydowali o przyznaniu niewielkiej grupie ludzi niezbędnych do dalszej produkcji szopów tzw. „numerków na życie”. W przeciągu tylko sześciu dni (6-11 września) przeprowadzono tzw. „Wielki Kocioł”. Pozostałych przy życiu mieszkańców getta zgromadzono pomiędzy czterema zamkniętymi ulicami (Smocza, Gęsia, Zamenhofska, Szczęśliwa). O dalszym trwaniu lub zsyłce na niechybną śmierć decydowali właściciele szopów. Spośród przebywających wówczas w getcie Żydów taki akt łaski spotkał ok. 35 tysięcy osób. Pozostałych zapędzono na Umschlagplatz. Setki zwłok zamordowanych wówczas ludzi pozostawało na ulicach. Uczestnik działań, oficer SS **Wittosek** tak to podsumował: „Aleśmy zrobili ładny kociołek”.



Leningrad, 30.01.1942
Fot. G. S. S. (1942)





Żydowski Instytut Historyczny oraz Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce. Laureat konkursu Żydowskiego Instytutu Historycznego na najlepszą pracę doktorską im. M.Bałabana (2014). Uczestnik międzynarodowego projektu badawczego „Pogromy Żydów na ziemiach polskich w XIX i XX wieku” (2013- 2016). Autor artykułów i książek. Zainteresowania badawcze: stosunki polsko-żydowskie po 1945 r., żydowskie ruchy społeczne i polityczne, mniejszości narodowe i etniczne w Polsce, zimna wojna, totalitaryzm.

Autor: dr Paweł Wieczorek

Data
publikacji: 2019-07-23

Data
wydruku: 2023-02-08 20:34

Źródło: <https://1943.pl/artukul/wielka-akcja-22-lipca-1942-21-wrzesnia-1942-czesc-druga-felietonu/>